№ 50.

Warszawa, dnia 28 Listopada / 10 Grudnia 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA, w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

JAN BAUDRY

przez

AUGUSTA VACQUERIE.

(*Dalszy ciąg*).

AKT I.

SCENA II.

ADELA, OLIVIER, PANI GERVAIS.

OLIVIER. (*kłaniając się*)

Witam panie.

PANI GERVAIS.

Pan Doktór. Myślałby kto że to starzec poważny w okularach, z żabotem zapruszonym tabaką, a tu wchodzi młody człowiek, prawie dziecko. Wiesz co że moja choroba narobiła hałasu. Wszystkie znajome moje, nie chcą już innego doktora tylko pana.

OLIVIER.

Wdzięczny im jestem, ale muszę pogodzić się z innymi.

PANI GERVAIS.

A to czemu?

OLIVIER.

Nie jestem już doktorem.

PANI GERVAIS.

Jakto?

OLIVIER.

Dość mam już doktorskiego zawodu!

PANI GERVAIS.

Szalona myśl! kiedy zaczynasz nabierać wziętości, kiedy imie twoje krąży we wszystkich ustach! Podczas ostatniéj epidemji, zjednałeś sobie powszechne uwielbienie. Jedna młoda i ładna kobiéta mówiła wczoraj o panu ze łzami w oczach.

Wszystkie dzienniki zajmują się twoją książką, na przekor akademji. I w takiéj chwili porzucać medycynę?

OLIVIER.

Porzucam ją stanowczo.

PANI GERVAIS.

I czemże się pan zajmiesz?

OLIVIER.

Mniejsza o to.

PANI GERVAIS.

Przebacz mi zbyteczną śmiałość, ale znałam cię małem dzieckiem mój doktorze. Nim uczynisz tak ważne postanowienie, poradź się wprzód tych, którzy cię kochają.

OLIVIER.

Alboż mnie kto kocha?

PANI GERVAIS.

A my? ja naprzód, któram ci winna życie.

OLIVIER.

Wdzięczność chorego dla doktora! zaczynam to rozumiéć. Stanowi ona jakby część choroby, objawia się razem z gorączką, słabnie z wracającemi siłami, a ustaje ze zdrowiem.

PANI GERVAIS.

Co panu jest? czyżby pan Bruel prawdę mówił?

OLIVIER

Pan Bruel?

PANI GERVAIS.

Wszak nie byłeś doktorem Adeli. Czy przyjaźń jéj nazwiesz także chorobą?

OLIVIER.

Panna Adela przybyła do Paryża przed sześciu tygodniami: spotykałem ją codzień. Była dobrą dla doktora swéj ciotki; a przytem znała mnie trochę w Hawrze. Pan Bruel przyjechał wczoraj, może jutro zabierze ją z sobą. Ja zostanę tu, a za miesiąc panna Adela tak będzie myśleć o doktorze, jak pani o chorobie swojéj.

PANI GERVAIS.

Możesz pan wątpić o nas, ale jest ktoś, o czyjem przywiązaniu powątpiewać nie wypada. Mówię o panu Baudry.

OLIVIER.

Pan Baudry!

PANI GERVAIS.

Jego przyjaźni zaprzeczyć pan nie możesz. Czyś go prosił o radę. (*Olivier milczy*). Więc on nie wié twego zamiaru? ukrywasz go przed nim, bo domyślasz się że go nie pochwali. Pan sam nie jesteś w zgodzie z sobą, dowodzi tego ta gorycz z jaką mówisz o drugich. Kto niezadowolony ze wszystkiego, ten pewno nie zadowolony sam z siebie. Chcesz się rzucić w jakieś spekulacje przemysłowe. Zastanów się tylko. Zawód lekarza tak piękny! Jaka szkoda żeś nie słyszał tego, co dziś rano mówiła Adela. Otóż utrzymywała, że gdyby ją Bóg stworzył mężczyzną, byłaby niezawodnie doktorem.

OLIVIER.

Panna Adela mówiła to!

PANI GERVAIS. (*do Adeli*)

No! powtórz że sama. Nie pomagasz mi... oniemiałaś jak widzę. A całe rano szczebiotała jak dzierlatka.

ADELA.

Nie mówiłam nic, coby warto było powtórzyć.

OLIVIER.

Lub też ja nie wart, aby to dla mnie było powtórzone.

PANI GERVAIS.

Myślę doktorze iż zmienisz jeszcze zamiar. Pamiętaj że świetna przyszłość otwarta przed tobą.

OLIVIER.

Tak przyszłość. Za dwadzieścia lat, byłbym bogaty.

PANI GERVAIS.

Więc dla wzbogacenia się porzucasz medycynę.

OLIVIER.

Może być.

PANI GERVAIS.

Dziwna rzecz! chcesz być bogatym a przed chwilą Adela pragnęła być ubogą.

ADELA.

Żartowałam.

OLIVIER.

Wierzę bardzo. Być ubogą! lepiejby nie żyć wcale!

PANI GERVAIS.

Pan więc bardzo lubisz pieniądze?

OLIVIER.

Nienawidzę ich!

PANI GERVAIS.

I dla czegóż ich pragniesz!

OLIVIER.

Bo pieniądze są wszystkiem!... bo zdolność, praca, odwaga, poświęcenie, wyobrażają tylko wartość pieniężną, bo bez pieniędzy nikt na nas nie spojrzy, nikt nas kochać nie będzie. A ze wszystkich kobiét, najchciwsze bogate. Oto młoda panna na wydaniu. Kto da więcéj? sprzedaż publiczna, sto tysięcy franków! dwakroć!... Panowie to za mało!... trzykroć!... pięćkroć!... i to nie dosyć! Miljon!... tak to przecie rozumiem!... Właściciel miljona, może stary spanoszony lichwą i bankructwem! może obok tego, jest gdzieś w cieniu młodzian ubogi lecz kochający. Precz z ubogą miłością! niech żyje miljon! Nie zaprzeczycie panie temu. Wszak prawda! szczęście sprzedaje się za pieniądze, a ponieważ się sprzedaje, muszę je kupić. Zrobię majątek jakimkolwiek sposobem. Może ja sam pogardzę sobą, ale świat cenić mnie będzie. Niektóre ludy oddają religijną cześć słońcu. My jesteśmy Gwebrami złota! klękajcie wszyscy! oto wasze bożyszcze! klękajcie na bruku, w rynsztoku uliczném, w błocie! I nikt się nie opiéra. Dukat nie ma ateuszów. O tak! nie mogę ścierpiéć tego wszechpotężnego kruszcu, podzielonego na sztuczki okrągłe jak ziemia, a płaskie jak ludzie!

PANI GERVAIS.

Zrozumiałam cię mój doktorze, kochasz pannę bogatą!...

ADELA.

Ciociu.

PANI GERVAIS. (*na stronie*)

Ha! kto wié.

OLIVIER.

Ja! miałbym kochać bogatą! o nie, jam nazbyt dumny. Czyżbym się narażał na zuchwałą odmowę? możeby mi powiedziano: Precz żebraku! Gdybym kochał bogatą, wprzódbym umarł niż wyznał moją miłość.

PANI GERVAIS.

Kochałbyś jednak, a ona możeby to spostrzegła.

OLIVIER.

Ja niekocham nikogo.

PANI GERVAIS.

I kiedyż przestaniesz być doktorem?

OLIVIER.

Natychmiast... dziś jeszcze.

PANI GERVAIS.

Zakazuję ci tego. Musisz mnie wprzód zupełnie wyleczyć.

OLIVIER.

Pani jesteś już zdrowa.

PANI GERVAIS.

Jak mnie opuścisz zachoruję na nowo. Wczoraj oto kazałeś mi zmienić mieszkanie; posłuchałam twéj rady. Obejrzyj doktorze moje nowe pokoje i powiedz czyś z nich zadowolony.

OLIVIER.

Po to właśnie przybyłem.

SŁUŻĄCA. (*wchodząc*)

Pan Baudry.

ADELA. (*na stronie*)

O Boże!

OLIVIER.

On!

PANI GERVAIS.

Pan Baudry w Paryżu? prosić go. (*Służąca odchodzi*)

OLIVIER. (*do pani Gervais*)

Jestem na rozkazy pani. Racz mi pokazać mieszkanie.

PANI GERVAIS.

Ależ muszę powitać pana Baudry.

OLIVIER.

Panna Adela go przyjmie.

PANI GERVAIS.

A pan czy go nie chcesz widziéć?

OLIVIER.

Nie w téj chwili, (*wychodzi*).

PANI GERVAIS.

Ależ!...

ADELA.

Idź Ciociu.

PANI GERVAIS. (*wychodząc*)

Jakież on może miéć zamiary?....

SCENA III.

BAUDRY — ADELA.

BAUDRY.

Witam panią. (*ściska ją za rękę*)

ADELA.

Sprawiasz nam pan miłą niespodziankę.

BAUDRY.

Czy ojciec pani jest w domu?

ADELA.

Nie ma go, lecz zaraz powróci.

BAUDRY.

Więc to nie on wychodził z panią Gervais?

ADELA.

Nie, to pan Olivier.

BAUDRY.

Olivier... odchodzi kiedy ja przybywam.

ADELA.

Pan się z nim widzieć będzie? nie prawdaż?

BAUDRY.

Tak, zobaczę go niezawodnie.

ADELA.

Jak to dobrze że pan przyjechał do Paryża!

BAUDRY.

Czy pani wiesz po co tu przybywam?

ADELA. (*pomięszana*)

Domyślałam się.

BAUDRY.

Czego się pani domyślałaś?

ADELA.

Że pan przybywa dla pana Oliviera.

BAUDRY.

Dla Oliviera? czyż on mnie potrzebuje?

ADELA.

O tak! potrzebuje pana.

BAUDRY.

Mów pani, o co idzie?

ADELA.

Od kilku tygodni smutny jest i zniechęcony. Kiedym tu przyjechała, zdawał się wesół, ufał w przyszłość; teraz zaś wszystko gani, pragnie być bogatym, porzuca swój zawód, unika pana; nie wierzy w niczyje przywiązanie, cierpki jest i złośliwy. Nie mów pan żem go oskarżyła, ale trzeba koniecznie abyś z nim otwarcie pomówił.

BAUDRY.

Tak jest, pomówię z nim! Olivier nieszczęśliwy! O! równą monetą płacisz mi pani wiadomości jakie przywożę!

ADELA.

Jakie wiadomości?

BAUDRY.

Czy ojciec powróci niedługo?

ADELA.

Więc te wiadomości, tyczą się mego ojca? pan przybywasz umyślnie z Hawru, czy się stało co złego?

BAUDRY.

Jeszcze go ocalemy!

ADELA.

Czy mu grozi niebezpieczeństwo?

BAUDRY

Bądź pani spokojną, jestem tu!

ADELA.

Panie! zaklinam cię, powiedz mi wszystko. Straciłam matkę dzieckiem, kocham też ojca podwójną miłością. On będzie potrzebował pociechy, nie ukrywaj mi nic! Jam silna, zniosę wszystko, nawet nieszczęście ojca mego.

BAUDRY.

Prawda, znam twój dzielny i szlachetny umysł. Słuchaj więc... ale nie wiesz pani, jak mi ciężko sprawić ci taką boleść. Przebacz mi to co powiem.

ADELA.

Dziekuję panu.

BAUDRY.

Jesteście doprowadzeni do upadku.

ADELA.

Biedny ojciec!

BAUDRY.

Handel, rzecz wątpliwa! od kilku lat nie wiodło się ojcu. Spekulacje zawodziły, wspólnik go oszukiwał. Uważałaś pani jak był niespokojny; martwił się że statek nie przypływa, w nim ostatnie pokładał nadzieje. Przez niedbalstwo komissanta, Neptun nie był assekurowany. Ojciec pani spostrzegłszy się chciał powetować to zaniedbanie, ale towarzystwo assekuracyjne, nie mogło odpowiadać za statek opóźniony. Ojciec pojechał w tym celu do Paryża, nic jednakże nie zyskał. Otóż ja przywożę wiadomość że...

ADELA.

Cóż takiego?

BAUDRY.

Że Neptun rozbity.

ADELA.

Biedny ojciec!

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

* * *

Od dwóch tygodni rozpoczął się Adwent, od łacińskiego *adventus* czyli *przyjście*, służący na określenie czasu poprzedzającego obchód uroczystości Bożego Narodzenia. Ustanowienie to sięgające nadzwyczaj odległych czasów, ma przypominać epokę w któréj ludzkość zbolała, wątpiąca i prawie zrozpaczona, oczekiwała przyjścia Tego, co nauką dźwignął ją z bagniska, wskazał cel życia i ludzi nazwał braćmi a Boga ojcem. Były to czasy najwyższego bezeceństwa i upodlenia, nie łagodzone nawet nadzieją, wyjścia z tego ciernistego stanu, którąby choć malutkim promykiem, przyświécała ludzkości, błąkającéj się w ciemnicy zwątpienia i zupełnego rozpasania. Kościół na pamiątkę téj boleści i rozpaczy ludzkości pogrąża się w smutku: milkną więc organy, wesołe hymny anielskie, ton śpiewów staje się smętnym jakby bolejącym, i zabronione są śluby małżeńskie i wszelkie uciechy i zabawy.

Niedawno jeden z myślicieli (?) szeroko się rozwiódł nad urządzeniem społeczności jeszcze przed Adamem i Ewą i to tak obszernie z taką dokładnością, jakby świéżo odkrył źródła i dokumenta odnoszące się do téj epoki nie mogącéj być nazwaną nawet bajeczną, jako niewzmiankowaną przez żadne najbardziéj starożytne podania. Drugi uczony wydał znów opis planety Marsa, i oblawszy w dowodzeniu jednę półkulę wodą a drugą okrywszy stwardniałą skorupą, rozgadał się o atmosferze planety, o naturze jéj i całéj powierzchni, z pewnością podróżnika, co wszystko oglądał własnemi oczami, i każdéj rzeczy dotknął się, zbadał i wyrozumował.

Trzeci nareszcie p. Philipps, prezydujący w wydziale Oxfordzkiego uniwersytetu w Bath, w obszernéj rozprawie dowiódł jak dwa a dwa jest pięć.... że ziemia nasza zanim przyszła do obecnego skupienia swych cząstek, znajdowała się w gazowem rozproszeniu, odbywającem proces przez miljony miljonów lat, w cyfrze tak wielkiéj jakiéj nawet badacz tak pewny swego nie umiał oznaczyć. W dalszych swych dowodzeniach uczony professor już więcéj jest stanowczym i szczegółowym; widocznie w téj wibracji gazu odbywanéj przez bimiljony wieków, znalazł jakiś stwardniały atomek, na którym oparłszy swe ziemskie nogi, z lunetą przy oku a z piórem w ręku, mógł przemiany materji nietylko śledzić, ale nawet zapisywać ze ścisłą dokładnością. Dowodzi bowiem, że na przejście skorupy ziemskiéj ze stanu roztopienia do obecnéj twardości, potrzeba było czasu dziewięćdziesiąt ośm miljonów lat, czyli blisko miljon wieków, bo brak do téj cyfry dwóch miljonów jest fraszką nie zasługującą na żadną prawie uwagę. Zanim jednak temperatura zniżyła się ze stu stopni do czterdziestu pięciu, kiedy już wody mogły być zamieszkałe, profesor szasta wiekami jak ziarnkami zepsutego grochu, i powiada że na to potrzeba było miljard lat opuszczając końcowe cyfry znane mu jak najszczegółowiéj, prawie na dnie i godziny, a umyślnie nie przedstawione dla okrągłości w rachunku. Do tego miljarda lat dolicza jak kupon do listu zastawnego, 1,280 miljonów lat na odpadnięcie temperatury do 25 stopni i tą drogą dochodzi do dwudziestu trzech miljonów wieków, jakich materja użyła na przeobrażenie się i utworzenie kuli ziemskiéj na jakiéj mamy nieszczęście zamieszkiwać.

A wiecie na czem tak sumienny badacz, opiera mrzonki swéj rozbujałéj fantazji? Oto na przypuszczeniu najfałszywszem, nie popartym żadnym faktem prawdą nacechowanym. Powiada bowiem, że jeżeli przeciąg kilku tysięcy lat utworzył w roślinach i zwierzętach przemiany mało znaczne, zmiany więc większe odbywać się mogą tylko w ciągu okresów, o których chronologja nasza nie zdolna jest nawet dać choćby najmniejszego pojęcia. Przemian tych jednak roślin i zwierząt nie określa, nauka zaś uczy, że tak dziś jak przed dwoma tysiącami lat, na sosnach zawsze rosły szyszki a nie ananasy, lew i tygrys te same miał pazury co dzisiaj, wilk ostre zęby, a człowiek nos pomiędzy oczami i szatańskie różne zachciwki. Kultura jako owoc pracy ludzkiéj, w rachunek ten wchodzić nie może, bo mówiąc o ścieraniu się sił natury, odwoływać się należy do objawów, tylko od niéj wychodzących i przez nią zdziałanych. Pocóż więc tak mozolne badania, po co zaciekanie się w tak oderwanéj materji, nie przystępnéj dla wiedzy ludzkiéj, i podobno na zawsze przed nią osłonionéj tajemnicą?

Gdyby p. Philipps zamiast błąkania się po manowcach i bezdrożach rozmyślań rozumku ludzkiego, spojrzał był okiem chrześcijańskiego moralisty na własną społeczność i sądząc z przeszłości i przebiegu lat wyprowadził wnioski, ile potrzeba czasu na wprowadzenie jéj do świątyni człowieczeństwa i podniesienia do stanowiska prawdziwe-ludzkiego, przyniósłby przysługę wszystkim a szcze-

gólniéj tym, co łakną, pragną i spodziewają się. Bujając zaś w gazowych, lawowych i skorupiastych widziadłach, dowiódł... że nie ma pokory, któréj brak zdrożnym jest w każdym, a w nim śmieszny i prawie nie do przebaczenia.

Pokora! wielki to i malutki zarazem wyraz. Gdyby go pojęto w całém znaczeniu jego głębokości i prostoty, gdyby każdy nie w słowie, piśmie lub dowodzeniu, ale w sercu, duszy i myśli, uznał się tem czem jest rzeczywiście, malutkim, biedniutkim, pyłeczkiem, odrobinką, ową efemerylą uważającą dzień swego życia za wiek, a listek na którym żyje za świat cały; gdyby rzeczywista pokora ludzkość wskroś przejęła...

Urywam, nie kończąc rozpoczętéj myśli; lękam się bowiem, abym adwentowem dumaniem, wpadłszy pomiędzy ludzi, jak wóz z szalejącemi końmi za nadto wiele nie wywołał rwetesu.

Przygarbiony zatém, zamyślony, pokorny jak młode dziewczę po piérwszéj spowiedzi, wyruszyłem ku nowo zbudowanemu mostowi. Posępne niebo, już od wielu dni pomimo mrozu i pogody, nie wyjaśnione słońcem, łączyło się na dalekim horyzoncie z modremi falami naszéj kochanéj Wisły. W pośrodku rozpościerała się w przystroju szronowym malownicza Saska kępa; bliżéj wyskakiwały na poziom wierzchołki izbic od starego mostu, a z nurtem rzeki cicho, spokojnie, z powagą, płynęły gęste odłamy kry, z szumem uderzając o natrafiane przeszkody, jakby z gniewu na zuchwalców co im tamę ośmieliły się położyć. Był to widok wspaniały i prawdziwie majestatyczny a siła kry zdumiewającą. W roku zeszłym kiedy pęknięte lody, uderzyły w całéj swéj massie na podstawy mostu tymczasowego, czyli fabrycznego, który obecnie rozbierają, jeden z inżynierów, znajdujący się na nim dla obserwacji i przypatrzenia się walce żywiołów, ogłuszony szumem, skrzypieniem, i drganiem całego pokładu, uciekł w największém przerażeniu, zaledwie na lądzie wracając do przytomności. Bicie fali zasłanéj taflami kry połamanéj, trwało podobno cztery godzin nie całe, most ocalał, ale sześcio calowe bale ochraniające słupy podarte jak podeszwy u obuwia rozleciały się w części na drobne drzazgi, półcalowe zaś obręcze żelazne użyte do okucia ich, powyginały się jak z wosku ulepione i wyrwane w większéj części poszły na dno rzeki.

Dziesięć czy dwanaście lat temu, w Gazecie ówcześnie Codziennéj a dziś Polskiéj wywiązała się sprzeczka pomiędzy p. B. a jednym z naszych inżynierów, o zapobieżenie tak częstemu zdejmowaniu mostu na Wiśle z obawy porwania go przez napływające lody. Pan B. opierając się na praktyce w Hiszpanji odbywanéj, radził pomiędzy Saską kępą a Solcem, przeciągnięcie łańcucha żelaznego, któryby wstrzymywał i zarazem druzgotał krę z góry napływającą, i tem samem ochraniając most od szkody, zdejmowanie go robił niepotrzebném. Radę tę przeciwnik wyszydził, zowiąc ją zupełnie niepraktyczną, i dowodził, że siła massy kry płynącéj przy puszczaniu lodów na Wiśle jest tak wielką, że największy, najgrubszy, i najmocniejszy łańcuch, ukuty choćby w kuźni cyklopów, w wulkanicznym ogniu i rękami tytanów, za piérwszém uderzeniem kry, zerwałby się jak nić konopna. Odpowiedź ta wywołała srogi gniew w p. B. i popierając się Hiszpanją i Algierem, nazwał nas ciemnemi, upartemi i przepadłemi z kretesem, jako odpychającemi zarówno dobrą radę jak naukę. Nie piérwszy to i zapewne nie ostatni podobny zarzut jaki nas dotyka, o ile więc zamyka w sobie prawdy, przyjmijmy w pokorze ducha i poprawmy się. Będzie to najszlachetniejsza zemsta, na którą i Was i siebie namawiam.

Nowości muzyczne.

---

18. *Morceaux de Salon N. 13 par Daase op. 208 Praeludium.* Pięknie bardzo napisane, czysto, obrobienie staranne. Niech osobę grającą nie zraża, gdy ujrzy system trzyliniowy tak jakby dla trzech rąk; stare to sztuki powiedzą czytelniczki prawda a jednakże tu dobrze użyto, bo uwidomia melodyą i towarzyszenie lewéj ręki w ostatnich 2-ch polach. Przytem ma jeden przymiot, że nie długie obejmuje bowiem tylko $1^1/_2$ arkusza.

19. *Les joyeuses Commères* de Windsor. Improvisation p. Hünten Op. 222. Zgrabnie ułożone motywa z téj tak pięknéj opery Nicolai Średnia trudność téj sztuki nie powinna odstręczyć osoby uczące się. Są tu żwawe i poważne melodye. Piękny motyw na str. 8. w tonie C. Allegro takt $^3/_4$ powtarzany, późniéj w przejściu w tonie Es, późniéj nieco w tonie E, piękny efekt sprawia. *Z téj saméj opery* wyszły niedawno wyjątki b. pięknie ułożone nakładem księgarni Kaufmana.

20. *Comme autrefois* simple recit. p. L. p. Gerville Op. 91. Miernéj wartości, ale stosunkowo daleko udatniejsza kompozycya, jak inne *tegoż autora.*

21. *Loin d'elle* romanse. Wstęp tęskny po większéj części *arpegiando* jakby przygrywka, śpiew sam zupełnie w tym samym duchu utrzymany, tęsknotą tchnący w tonie As, przejście do tonu Des jest jakby pocieszającą myślą *o niéj* choć *zdaleka.* Ostatnie stronnice powtarzają tę

samą myśl tylko z towarzyszeniem pasaży. Całość wdzięczna i nie trudna.

28. *Rosen knospen* leichte Tonstücke. Zbiór ulubionych tematów bez oktaw z palcowaniem przez *Krug*. Op. 196.

N. 1. *Gounod.* Śpiew z Faust'a.

N. 2. *Abt'a.* Gute Nacht du mein herzens kind.

N. 3. *Gonnod.* Marsz z Fausta.

N. 4. *Wagner.* Marsz i chór z Tanhäusera.

N. 5. *Heiser.* Zieht im herbst die Lerche fort.

N. 6. *Abt.* Schlaf wohl, du süsses Eugel du. Któż dziś nie zna *Fausta*. Gounod'a albo *Tanhäusera* Wagnera? Kto nie zna niech pozna naturalnie w właściwym ułożeniu nie ułatwionym, bo muszą z konieczności zniknąć piękne szczegóły oryginału, ale kto nie może jak *np.* słabo grający, to niech pozna i w stylu ułatwionym zawsze będzie korzyść z poznania pięknych myśli. Inne numera tj. N. 2, 5, 6, ułożone ze śpiewów Abt'a i Haiser'a, łatwo napisane ale wdzięcznie.

A. B.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 1 Grudnia 1864 r.

Zmienna pogoda obecna sprawia, że Paryż co dnia przystraja się inaczéj. Wczoraj widzieliśmy na ulicy ciepłe paletoty barankowe, kołnierze futrzanne i mufki, dziś słońce zaświeciło i Paryżanki przywdziały jedwabne okrywki i szale. Wspomniawszy o szalach, dodamy że te stanowią zawsze ulubione okrycie oszczędnych a zarazem eleganckich Francuzek; panie tutejsze bowiem zalecają się w ogóle oszczędnością godną naśladowania. Nie mówiémy tu o wielkich paniach należących do dworu, ani też o żonach miljonowych bankierów, które zbytkują z zasady, w przekonaniu iż kto ma wiele, powinien wiele wydawać, aby dać zarobek uboższym, ale mówiémy o kobiétach stanowiących średnią a najliczniejszą klassę społeczeństwa. Te ubierają się zręcznie, gustownie, a obok tego z wielkiém wyrachowaniem. Otóż wracając do szalów, każda z tych pań, ma zwykle jeden w garderobie swojéj, Turecki lub Francuzki stosownie do możności. Szal przedstawia tę wielką korzyść że moda w nim nie tak się często zmienia jak w paletotach i innych okrywkach, a do tego można go wybornie oczyścić lub uprać. Z pomiędzy ciepłych zimowych okrywek, najwięcéj daje się widzieć krótkich paletotów, i rotond z grubego wyrobu wełnianego, z długim włosem kręconym na kształt baranka. Noszą także paletoty z wełnianego pluszu Angielskiego, *silk-skin*, nadzwyczaj ciepłe i trwałe z wielkiemi guzikami stalowemi. Kolor ciemno fjołkowy i granatowy przyjęty na takie paletoty. Okrywki zaś z tkaniny naśladującéj skórę baranka, najczęściéj bywają czarne, popielate lub brązowe. Do większego ubrania widać też wiele paletocików jedwabnych pluszowych, w kolorze granatowym, lub w marmurek popielaty z czarnym. Guziki metalowe rznięte, stanowią główną ich ozdobę.

Moda zębów stała się powszechną. Większą część sukien wycinają u dołu w zęby, które obszywają aksamitką, pletnią albo sznurem. Do strojniejszych sukien, dają nad zębami, wązką falbaneczkę jedwabną, lub bufkę ułożoną w drobne kontrafałdy, naszytą również w zęby dwoma lub trzema rzędami. Rękawy noszą ciągle wązkie ścięte do łokcia, o tyle otwarte żeby ręka przejść mogła. Jeśli suknia obszyta u dołu grubym sznurem, w takim razie na ramionach i u dołu rękawa naszywają kokardę ze sznuru, zakończoną dwoma kwastami. Stanik bywa najczęściéj zupełnie gładki, o dwóch rozchodzących się bawetach, spięty na szmuklerskie guziki, lub też przepasany szerokim bardzo pasem ze stalową klamrą. Stalowe guziki do zapięcia sukien, bardzo też używane.

Mówiąc o stali dodamy że biżuterje stalowe ciągle się utrzymują. Oprócz kolczyków i broszek, uważaliśmy krzyżyki wysadzane kameryzowaną stalą, które noszą zawieszone na szyi na czarnéj lub kolorowéj aksamitce.

Powiedzmy jeszcze słówko o szlafroczkach rannych, które dla paryżanek stanowią ważną część ubrania. Robią je zwykle nie odcinane w stanie w rodzaju szerokiéj Gabryeli, lub długiego do ziemi paletota wciętego lekko w stanie. Uważaliśmy między innemi bardzo ładne flanelkowe w kratkę w dwóch kolorach, lub gładkie kaszmirowe, spięte do ziemi na rząd wielkich guzików, pokrytych jedwabnym pluszem, po obu stronach tychże guzików, idzie szeroka plisa pluszowa. Maleńka pelerynka kwadratowa, obłożona pluszem stanowi główną ich ozdobę. Rękawy wązkie mają wyłożony mankiet pluszowy. Mniéj kosztowne szlafroczki okładają zamiast pluszu kolorową flanelą. Jeżeli szlafrok gładki, obłożenie może być w kratę, szlafrok w deseń, lub w krutę, powinien być obłożony gładkiemi plisami. Guziki bywają zawsze takie same jak obłożenie. Wiele można widzieć takich szlafroczków fularowych lekko podwatowanych.

Do tegorocznych nowości należą mufki czarne aksamitne, przybrane tylko wązką wypustką futrzaną.

Roboty włózkowe na drutach, wielką odgrywają tu rolę w zimowem ubraniu. Mnóstwo widać trykotowych chusteczek, kapturków, kaftaniczków,

kamizelek z rękawami lub bez rękawów, szalików i kardynałek robionych szydełkiém lub na drutach. Francuzki zajmują się tém zwykle wieczorami.

W układzie włosów nie daje się widzieć żadna prawie zmiana. Koki z plecionych włosów, przypięte grzebieniem i pokryte niewidzialną siateczką, stanowią zwykłą ozdobę głowy. Z przodu karbują włosy spinając je na noc na śpilki szyldkretowe, i układają z nich krótkie nioby nad czołem. Do tego rodzaju ubrania, trzeba unikać pomady.

Nowości Zagraniczne.

Magasin des demoiselles.

W obecnéj porze najwięcéj używane kapotki aksamitne, atłasowe podłużnie marszczone lub z pluszu. Forma ich ta sama jak już kilkakrotnie mieliśmy sposobność powiedzieć: małe bez karczków, przybrane tylko suto koronką, puklami z aksamitki lub wstążki z końcami na 3 ćwierci długiemi albo bufkami i frendzlą ułożoną z piór strusich. Pióra zastąpiono kwiatami aksamitnemi; mięszają jeszcze do ozdoby perły lawowe wielkości grochu, bombki i brosze. Warkocz lub kok wychodzący z pod kapelusza pokryty jest zwykle siateczką cieniuchną koloru włosów. Kolczyki noszą w stylu rzymskim i bizantyjskim. Wyroby wełniane mięszane z jedwabiem ślicznie wyglądają. Powszechnie bywają one w dwóch kolorach popielatym i czarnym, fijołkowym i czarnym szafirowym i czarnym, w drobne punkciki albo gęsią skórkę pod nazwiskiem: *drap méxicain*, *drap d'or*, *drap splendide* i t. d. Strojne materje na suknie przerabiane są w pasy albo bukiety atłasowe na tle matowem. Z równem upodobaniem noszą materje *gros grains*, w drobne paseczki, kropki lub rzucik sznelowy. Jako nowość dla młodych panienek notujemy manszony z czarnego, popielatego i szafirowego aksamitu z obłożeniem futrzanem po bokach. Powszechnie służą do tego tumaki, nurki, gronostaje i szenszylla.

W magazynie pani Klementyny W. widzieliśmy kilka salop jedwabnych przygotowanych do futra. Jedne były z materji *gros grains*, drugie z popeliny Irlandzkiéj, prawie wszystkie formą obszernego paltota obszyte w koło grubym sznurem szmuklerskim. Rękawy ścięte do łokcia, szerokie w pasze, zwężone u ręki i podszyte do połowy mantyną wypikowaną na wacie, miały z wierzchu mankiet przyozdobiony guzikami lawowemi. Druga połowa rękawa od pachy przeznaczona była do futra; wzdłuż przodów od szyi do stanu szła podszyta spodem listewka, która spinała się na guziki lawowe. W magazynie Pana Penkali znajdują się salopy ułożone w jeden duży kontrafałd od saméj szyi kez karczka, z gładkiemi przodami. Forma ta zaleca się dobrym kształtem i tę ma jeszcze zaletę że mały kołnierz lub *Wiktorynka* użytą do niéj być może, gdy przeciwnie do salopy z karczkiem trzeba koniecznie dużego kołnierza. Jeszcze i druga przedstawia się dogodność że z takiego wierzchu i gładką salopę zrobić można bez sztukowania długości. Do najwięcéj używanych futer należą: lisy Syberyjskie z powodu nadzwyczajnéj lekkości i ciepła, jak również popielice, późniéj następują tańsze: jak piżmowce żółte i czarne zwane *noarkami*, junaty i króliki. Do lisów pokrytych materją jedwabną, powszechnie przyjęte kołnierze z lisów niebieskich, tumaków, gronostai lub nurków. Do wełnianych salop bardzo ładnie wyglądają kołnierze z popielic, skonksów, czarnych piżmowców, lub ciemnych królików amerykańskich.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia jedwabna *Pervenche*. U dołu trzy falbanki naszyte w festony objęte wązką aksamitką czarną. Po obu stronach festonów, na każdym brycie, wielka rozeta aksamitna czarna, obszyta sznurem szmuklerskim. Stanik pod szyję zasznurowany z tyłu, przybrany na przodzie trzema odwróconemi falbankami, przedzielonemi w środku aksamitną. Rękawy obcisłe, na ramionach i u ręki rozeta cokolwiek mniejsza niż u dołu spódnicy. Kołnierzyk płócienny, obszyty walansienką, takież same rękawki. Krawatka aksamitna czarna. Czepeczek koronkowy czarny, wygarnirowany ruszką jedwabną z kokardą spadającą na włosy. — Figura 2. Suknia zielona *poult de soie*. U dołu wolant nad powietrzny, fałdowany w odstępach. Nad nim trzy razy dana aksamitka, przepleciona w zęby czarną gipiurą. Paletocik aksamitny czarny z zaokrąglonemi przodami, wcięty w stanie. Od pleców spada baskina, wygarnirowana szeroką gipiurą, przechodząca od ramion, i tworząca zarazem epolety. Dwa guziki z pasmanterji, przytwierdzają baskinę w stanie. W koło paletotu pasmanterja z grelotkami. Kołnierzyk batystowy, takież rękawki. Kapelusz atłasowy biały, przepinany aksamitką pąsową. Szarfy białe, nad czołem diadem z aksamitnych pąsowych kwiatów.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

W Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD
w Warszawie

Dodatek do Nru 50 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia $\frac{28\ Listopada}{10\ Grudnia}$ 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Z ksiąg i podań wyobraziłem je sobie zawsze ogniskami zepsucia i zbytku. —Niewielu ludzi spotykałem, w kraju naszym osady są rozsypane i odosobnione, długie zimowe wieczory spędza się u ogniska domowego w kółku rodzinném, a cokolwiek żwawsza myśl musi pracować nad sobą, aby je zająć, aby je zaludnić widmami wyobraźni. Ale tajnica téj samotności ma w sobie dla nas urok wielki, nie odrywa nas gwar i szum zewnętrzny od samych siebie, głębiéj nurtuje człowiek myślami, budując swą duszę, staje się od młodości poważniejszym, samotnym, zastanawiającym się bacznie, wielkie namiętności są tu niemożliwe, ale umysły krzepkiemi się stają przywykając do brzemion, które codzień dźwigać się wdrażają. Powieść o tym człowieku co dla wyrobienia w sobie siły, brał sobie na ręce od dnia narodzenia ciele, a późniéj dźwignąć mógł wołu gdy dorosnął, prawdzi się na tych, co drobną zrazu myśl, biorą i rosnącą unoszą gdy z olbrzymieje. Było nas dzieci kilkoro, jam na świat przyszedł ostatnim i najsłabszym, dla tego może pielęgnowała mnie matka z największą troskliwością; a ojciec przeznaczył do spokojniejszego zawodu, gdy starsi bracia poszli z nim kopać ziemię i zarabiać w pocie czoła na chleb rodzinny. Mnie pozwolono zostać nad książką i umysłem wyorywać skiby niewidzialnego świata. .

Gdy wielu innym ta praca duchowa stawi same sprzeczności, zagadki i rodzi w nich niepokój nieuleczony, niewiem jakiemu szczęśliwemu darowi nieba winien byłem i jestem, żem ani zwątpić nie potrafił, ani zrozpaczyć, ani się zawikłać w zadania nad siły. Nawykłem świat widzieć utworem potężnéj dłoni Boga, a sprawy jego pochodem ku celom przez Niego zakreślonym.—Nie zadawałem sobie nigdy kwestij nad pojęcie, a gdzie znajdowałem zaporę, umiałem z pokorą stanąć przed nią, dopóki nie padła, nie otwarła się, lub moja małość nie wytłómaczyła mi, czemu jéj zwyciężyć nie potrafię. Świat mi się i dziś widzi doskonale logiczną całością, złe w nim sprawą ludzką którą prawo Boże nieustannie naprawia, dobre zawsze zwycięzcą naostatku.

Idąc do dobrego można zajść do cierpienia, ale nigdy do fałszu. . . Sądząc ludzi potrzeba być pobłażającym i nie namiętnym.

— Jest to wielka prawda, szepnął po cichu garbus do hrabiego Żywskiego zakrywając usta otwarte szerokiem ziewaniem, radbym być pobłażającym dla Szweda, który tu się przywlókł z zimnego kraju, na pół zmarzły, ale mnie po troszę nudzi, to cóś zarywa na kurs ettryki, którego bym wolał nie słuchać.

Szept jakkolwiek bardzo cichy, doszedł do uszów mówiącego,—zatrzymał się, spojrzał na vice-hrabiego i uśmiechnął.

— Wiem co pan mówisz, rzekł, nie dosłyszałem dobrze, czuję wszakże, alem was

uprzedził, że w mojéj historji niema nic zajmującego.

— Byle była historja, odparł uśmiechając się francuz. .

— A ! chcecie więc koniecznie romansu, z westchnieniem dodał cudzoziemiec, niech i tak będzie, powiem wam mój romans, pojmuję z pewnego względu dla czego ludzie są tak ciekawi szczególniéj historij miłości w sercu bliźniego, ona jest kamieniem probierczym człowieka, w téj czczéj na pozór ciekawostce, kryje się instynktowe poczucie ważności stosunku między mężczyzną a kobietą.

Vice-hrabia zaczął się filuternie uśmiechać.

— Otóż jakiem się ja zakochał, rzekł Szwed powoli, wysłano mnie do szkoły w pobliskiem miasteczku, miałem już lat ze szesnaście, bo początkowe nauki pobierałem w domu, rozpoczęła je matka, daléj ciągnął nauczyciel, którego ojciec brał na zimę, w lecie bowiem pracowałem trochę koło pola i gospodarstwa z innemi. To com się mógł w ten sposób nauczyć w domu, nie starczyło wszakże, wysłano mnie do miasteczka.— Cichy to był zakąt. Jeden duży stary kościół murowany, przy nim mieszkanie pastora i szkoła do któréj chodziłem z początku, bo późniéj kończyłem nauki w wyższym zakładzie tegoż miasta, jedna szeroka ulica z domami szeroko i wygodnie rozstawionemi, poniżéj drobniejsze chaty rybaków, spokojna zatoka ubrana od brzegu w piękne szare skały i nasze morze opalowe, zielone, które przy Adrjatyku wygląda jak blondynka skandynawska przy czarnowłoséj neapolitance. Jakkolwiek cicha to była ustroń, przez nią pierwszy raz zajrzałem w świat głębiéj, w pierwszych dniach wszystko nadzwyczajną we mnie budziło ciekawość, murowany gmach Boży, który mi się wydawał arcydziełem sztuki i olbrzymem, duże domostwa, ludzie poubierani jak od święta, ruch małego portu, rynek, cudzoziemcy, których spotykałem, aż do nauczyciela, który w rozmowie wydał mi się, czém zresztą był w istocie, prawdziwym mędrcem.

Zaczął mnie wypytywać i badać i zdawał się ze mnie dosyć zadowolniony. Nie wiele umiem, rzekł w końcu, ale umiejętność ludzka sama z siebie małą jest rzeczą, nie jest ona celem, jest środkiem rozwinięcia człowieka i wykształcenia umysłu i serca. Idzie o to abyś wiedział jak daleko ludzie zaszli, i byś nie mordował się wynajdując to, co już jest wynalezionem, pracując nad tem, co opracowane. Umysł masz otwarty, łatwo ci przyjdzie dowiedzieć się tu, jak stoją ludzkie sprawy na drodze nauki. Nie przywiązuj się do lichwy, staraj wywinąć z téj łupiny ducha, pracuj, myśl i nie wypieraj się samoistności swojéj. W każdym umyśle jest jakaś strona silniejsza, któréj innym brakuje, możesz ty stare i znane zbadać na nowo i wycisnąć coś zeń, czego inni nie potrafili; dla tego, słowo mistrza winno ci być skazówką, ale nie ostatecznym wyrazem nauki. Największą cześć oddaje nauce i nauczycielowi, kto je do głębi roztrząsa, i doszukuje się w nich treści. Jeśli masz wątpliwość, nie kryj jéj w sobie, rzucaj ją śmiało i szukaj światła choćby w walce.

Rozpocząłem tedy lekcje.

— Zaczynam się domyślać żeś się pan pokochał w córce professora, dorzucił złośliwie vice-hrabia.

— O, nie, rzekł Szwed powoli, w godzinach wolnych od nauki, gdym potrzebował wytchnienia, miałem zwyczaj zchodzić z miasteczka w dół między skały, ku morzu, ono mnie wabiło i pociągało ku sobie.—Siadałem z książką na wybrzeżu i poczynałem od czytania najczęściéj, ale powoli oczy od kart odbiegały na fale i księga boża pociągała mnie całego ku sobie. Wybierałem kątek pusty, aby być sam na sam z naturą, ciszą do któréj nawykłem i podchwycić mowę tajemniczą, morza, wiatru, fali. Jednego razu gdym tak siedział zamyślony, ujrzałem dziewczątko mogące mieć lat czternaście, ubogie, odarte, zbierające muszle nad brze-

giem i łatające sieci rybackie, stare, porwane, liche. Dziewczątko pracowało śpiewając po cichu, a ktoby niewierzył, iż między otaczającą naturą a człowiekiem jest niepojęty związek, odgadłby go słuchając téj piosenki.—Nucona cicho zlewała się z szumem fali, który zdawał się jéj towarzyszyć regularnemi ruchy, miała coś w swym charakterze z téj mowy, rozkołysanego smętnie morza północy.

Niepowiem wam, by na mnie wielkie uczyniła wrażenie jej piękność, ale niezrównany wdzięk miało to dziewcze rybacze, z wielkiemi niebieskiemi oczyma zamyślonemi, z ustami smutnie uśmiechniętemi, popatrzała na mnie i na moją książkę, ale nie więcéj ją strwożyłem nad ptaka, któryby usiadł na skale, nuciła sobie daléj. Czasem spojrzała w tę stronę ku mnie z uwagą i ciekawością i znowu naprawiała sieci lub wyrzucone przez fale szła chwytać skorupki. Nazajutrz powróciłem w toż samo miejsce, dziewcze przesunęło mi się tylko ze starcem, któremu towarzyszyła. Następnych dni widziałem ją kilka razy, nieopuszczałem mojego siedzenia na skale, było mi bardzo miło patrzeć na tę pracowitą istotę, tak przy swem ubóstwie po młodemu wesołą i spokojną. Czwartego czy piątego dnia gdym znowu z książką siedział, dziewcze samo przyszło do mnie, stanęło trochę o podal i skinąwszy mi głową, zapytało: „jak się masz dobry panie, co ty tu robisz? powiedz mi? czy wyglądasz statku? czy ci kto w świat odpłynął? wszakże jak my niejesteś rybakiem"?

— Nie, odezwałem się, ale lubię morze, lubię patrzeć na nie i słuchać go, a tu mi bardzo miło.

— Ale dla czegoż, spytała, przez tyle godzin dnia nie robicie nic...? któż dla was i za was pracuje? wszak człowiek musi na chleb sobie zarabiać?

— Ja się uczę, rzekłem, pracuję myślą, abym nią później i rękami na życie sobie zarobił.

— Umiecie czytać i westchnęła, i możecie czytać, co to wy tam pięknych rzeczy w książkach znajdziecie..! Ja także nauczyłam się czytać, ale niemam tylko jedną książkę pobożną, a czasu tak mało. Matka mi zmarła, bracia po świecie, ostatni co był przy nas został, łzy zakręciły się jéj w oczach... rok temu w burzę, niewrócił—ja sama z ojcem, a ojciec stary i coraz mniéj silny.

Szepcząc tak głos jéj był coraz cichszy, dwie łzy potoczyły się po twarzy, i siadła trochę daléj biorąc się do porwanych sieci. Rozmowa tego dnia nie poszła prawie daléj, aleśmy byli znajomi. Nazajutrz już jak starzy przywitaliśmy się przyjaciele.

Dziewcze było dziwnie proste, ufne i przywiązujące się, dusza jasna patrzała przez jéj oczy niebieskie, mimowolnie poczułem ku niéj naprzód jakąś litość, potém niewysłowione współczucie. Ona poznała mnie ze starym ojcem, który mimo ubóstwa, opuszczenia i wieku był wcale niepospolitym człowiekiem.—Trudy, niebezpieczeństwa, obcowanie z morzem, walka z żywiołami, potrzeba czuwania, rozwinęły go dziwnie, ale to był jakby zabytek dawnych wieków, w ktorych instynkta zastępowały naukę i wiedzę. Znał on mnóstwo rzeczy, miał wiadomości tradycyjne, do których ludzie po raz drugi, drogą nauki przyszli, nie tłómaczył ich, ale dla niego stały one w związku z pierwotnemi ludu naszego podaniami poubieranemi poetycznie, były skarbem i spuścizną po plemionach prastarych. Przez niego obeznałem się bliżéj z pieśniami skandynawii, z jéj dziejami przechowanemi w formach cudownie pięknych.

Stary miał niegdyś trzech synów i tę córkę, jeden najmłodszy, który był przy nim pozostał, zatonął w czasie burzy, dwóch oczekiwał z dalekich wypraw z powrotem, oba popłynęli na okręcie, który na połów wielorybów wyruszył i niepowracał, niewiedział naówczas, że i tych pochłonęło morze. Sam jeden, z córką ciężko zarabial na chleb powszedni. Poprzyjaźniłem się z niemi, oni

i ja nie miałem nikogo bliższego, Herta wydawała mi się siostrą z nieba zesłaną.

W lecie poszedłem do rodziców na parę miesięcy odpoczynku, ale ta przerwa w stosunkach moich z rybakiem, nie zatarła mi w pamięci ubogiéj chatki i chwil w niéj spędzonych z prostemi ludźmi poczciwych serc. Wróciwszy nazad pobiegłem na brzeg morza do znanego mi domku, zastukałem do drzwi, nikt mi nie otworzył, szukałem Herty na wybrzeżu i nie znalazłem jéj. Błąkając się między skałami, spotkałem wreście niosącą kosz muszli na głowie, poznała mnie i postawiwszy ciężar na ziemi, przybiegła cała zdyszana. Z uczuciem braterskim przywitaliśmy się drżący, postrzegłem łzy w jéj oczach, a ojciec? spytałem, a bracia?..

— A! niemam już nikogo, odpowiedziała mi po cichu, sama jestem na szerokim świecie, sama, po odjeździe waszym ojciec odebrał wiadomość o śmierci moich braci, i zesmutniał, zrozpaczył, położył się biedny, by już nie wstać więcéj, pochowaliśmy go tam, obok matki, pod tym krzyżem kamiennym, który odwiedzam codzień, zostawił mnie jedną, jedną. Jakże to dobrze żeście wy powrócili, jam was już przywykła uważać za brata.—

Otóż jak się rozpoczęła cicha miłość, dodał Szwed, trwająca do dziś dnia. Następnego roku, zaprowadziłem Hertę do rodziców moich, i pozostawiłem u matki, jako przyszłą żonę moją, Nikt się nie sprzeciwiał temu związkowi, biedna sierota znalazła rodzinę, wypoczynek i otkwitła znowu przy ciepłem naszem ognisku familijnem.

Z córki rybaczéj dziś to niewiasta, któréj umysł wykształcony zachował tylko z dawnych lat, poetyczną barwę. Dla niéj musiałem szukać domku i miejsca pobytu u brzegów morza, bo tęskniła za żywiołem, do którego była przywykła. Domek nasz stoi niedaleko od tego miasteczka w którem ją poznałem, a w godzinach przechadzki, przypominamy sobie pierwsze spotkanie, i pierwsze wrażenie na pół dziecinnéj miłości naszéj.

Szwed zamilkł.

— *C'est primitif, simple et ennuyant au possible*, rzekł vice-hrabia po cichu, aleśmy się przecie dobili do końca.

— Mówiłem wam, dodał opowiadający, że biografia moja nie będzie zajmującą. Walk duszy, zapasów myśli, zdobyczy moich dla was obojętnych, opisywać wam nie będę, cóż was obchodzi jak przyszedłem do pewnych prawd dla was obojętnych, jak się pozbyłem namiętności, które mnie ujarzmić usiłowały? jaką drogą doszedłem do wiedzy i jasnowidzenia za świata..?

— Ha! ha! uśmiechnął się Żywski, więc aż, za świata? bywałeś więc pan pozagranicami, za które my nieszczęśliwi wyjść nie możemy? otóż właśnie najciekawsza część powieści, a ty chcesz zamilczeć! zlituj się co się dzieje za światem?

Niedowierzająco i szydersko rzucone pytanie, Szwed przyjął z pokorą.

— Wzielibyście mnie za marzyciela, a może za szaleńca, rzekł, gdybym wam moje widzenia chciał opowiadać.

— Możesz pan przynajmniéj, przerwał vice-hrabia, rozwiązać nam kardynalną zagadkę przeznaczeń duszy, co się z nią dzieje gdy ciało dłużéj piastować jéj nie może..?

— Z duszą, odparł Szwed, z duszą dzieje się to co my jéj życiem zgotujemy, samiśmy jéj przeznaczeń panami, możemy ją zabić, lub unieśmiertelnić, dać jéj żywot lub śmierć. Bóg daje nam ją do rozporządzenia, pomaga, wspiera, objaśnia, kieruje, zsyła natchnienia ale jeeśli mimo to człowiek się uprze być bydlęciem, ginie jak bydlę. To mówiąc wstał, długie panowało milczenie.

(d. c. n.)